Dodatek do Nr. 14 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 7. Sobota, dnia 4-go Kwietnia. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIESC Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

— Dowiesz się o tem z katechizmu; ja nie potrafię ci tego dobrze wytłómaczyć; pamiętaj sobie tylko, że Bóg to ojciec, którego mają nawet takie jak ty sieroty. A czy umiesz przynajmniej pacierz?

— Umiałem, nauczyła mię mleczarka, ale później....

— Zapomniałeś?

— Tak.

— No, nie martw się, ja ci go przypomnę. Ale chodźmy do krawca; nie po to jesteś u generała, żebyś czas tracił na rozmowy ze mną.

— Kiedy ja to bardzo lubię.

— Ba, mój kochany, nie każdy może robić to, co lubi, a nawet bardzo mało jest takich szczęśliwców na świecie. I najdzielniejszy żołnierz nie radby spotkać się z kulą, a jednak, kiedy trzeba, idzie w ogień jak do tańca. Obowiązek, mój chłopcze, to najlepszy przyjaciel; co on nakazuje, to spełnić należy bez wahania. Ale oto i pan Aleksander; wejdę razem z tobą na górę.

Krawiec mieszka na czwartem piętrze, i sierżant, któremu noga odmawiała posłuszeństwa, musiał zatrzymać się w połowie drogi.

Izydor był zasapany i miał wystraszoną minę.

— Czy długo tu będziemy? — spytał, korzystając z chwili wypoczynku. — Nie mieszkałem nigdy tak wysoko i bałbym się okropnie.

— Bałbyś się? — spytał Gaveau zadziwiony. — A czego?

— Sam nie wiem czego, ale mam ochotę uciec stąd jak najprędzej.

— Ach! ci ulicznicy, — mruknął sierżant, — nieznośny gatunek; płochliwe to, jak ptaki, klatka zawsze im cięży.

Po przywitaniu się z panem Aleksandrem, Gaveau, spostrzegłszy świeżo wykończoną liberyę, zwrócił na nią uwagę Izydora, w nadziei że tym sposobem obudzi próżność chłopca.

Lecz malec patrzał obojętnie na suto wygalonowaną kurtkę, z widoczną niecierpliwością oczekując chwili powrotu.

Sierżant za to był w swoim żywiole.

Z całą uwagą przypatrywał się braniu miary, i co chwila zwracał uwagę na jakiś szczegół.

— Chłopiec przyjęty przez samego generała, — mówił z dumą, — trzeba, żeby się dobrze prezentował.

Nakoniec krawiec skończył swoją czynność. Mały szybko zwrócił się ku drzwiom.

— Chodźmy! — rzekł, nie odwracając głowy. Sierżant sięgnął po czapkę.

— Do widzenia, panie Aleksandrze... A nie zapomnijcie pospieszyć z robotą; generał nie lubi długo czekać.

Przed bramą Domu Inwalidów Izydor zatrzymał się nagle.

— Niech mię pan puści na Esplanadę — rzekł tonem proszącym — muszę tam pójść na chwileczkę!

— Ależ zastanów się, Izydorze, służba, obowiązek... — napominał stary żołnierz.

— Co mi tam służba! co mi tam wszystko! ja nie mogę, nie wytrzymam! — desperowało dziecko. — Ucieknę, jeśli mię pan nie puści.

— Uciekniesz? I tybyś to zrobił?

— Za nic w świecie nie wrócę teraz do kuchni!

Gaveau osłupiał. Okrutna walka toczyła się w jego sercu.

Co robić?

Jeśli pozwoli, generał może zapytać o Izydora, i dowie się, że on, Geveau, wyprowadził go na miasto; jeżeli odmówi, nieszczęśliwy chłopiec gotów dotrzymać słowa...

— Dobrze, chodź — rzekł, zdobywając się na energię rozpaczy.

I skierowali się na prawo.

Znalazłszy się na Esplanadzie, Izydor podskoczył w górę, wywrócił koziołka, choć niebardzo zręcznie i zaczął wołać, machając rękoma:

— Zapałki! Zapałki! chemiczne!

— Czyś zwariował? — krzyknął przestraszony sierżant. — Cicho bądź, głupcze jakiś!

— Wcale nie — odparł niezmieszany chłopak, pokazując białe zęby — przypominam sobie tylko

nasze pierwsze spotkanie i zapałki, z których żadna zapalić się nie chciała. Czy pan to jeszcze pamięta, panie sierżancie?

Sierżant milczał nachmurzony.

— Przypominam sobie — rzekł wreszcie — jak raz moja nieboszczka matka podłożyła pod kurę kacze jaja... Kaczęta się wylęgły... Lecz skoro tylko podrosły i znalazły się na dworze, pociągnęły na błoto, a biedna kwoka, nie mogąc za niemi podążyć, musiała zostać na brzegu.

— Dlaczego mi pan to opowiada? — spytał Izydor zdziwiony.

Gdyż te kaczęta, mój chłopcze, to ty, a kura to ja. Jeżeli kochasz tak bardzo błoto, z którego cię chciałem wyciągnąć, używaj na niem dowoli, ale ja zostanę na brzegu, to znaczy w czystym i pięknym domu Inwalidów, gdzie mnie nie minie moja codzienna porcya i łóżko...

— Gniewa się pan na mnie?.... Fe, nie lubię takiej zagniewanej miny. Czy zrobiłem co złego? Pobiegałem trochę po Esplanadzie i teraz gotów jestem wrócić... O cóż panu chodzi?

Upłynęło dni kilka. Izydor miał już nowe ubranie i spoglądał z dumą na swą postać, ile razy zdarzyło mu się przejść koło lustra. Błyszczące guziki i granatowa kurtka zachwycały go niezmiernie. Zdawało mu się, że jest innym w tym uniformie półwojskowym. I rzeczywiście trudno było poznać dawnego ulicznika w czystym, porządnie ubranym chłopcu, o śmiałym wyrazie twarzy i inteligentnym spojrzeniu.

Sierżant patrzał na niego z prawdziwem zadowoleniem.

— No, jak tam idzie? — zapytywał, ile razy spotkał swego wychowańca.

— Tak sobie... — odpowiadał chłopiec. — Żal mi bulwarów i Sekwany.

— Z tem wszystkiem kuchnia generała widocznie ci służy: wyglądasz doskonale.

I sierżant uśmiechnął się pod wąsem.

Innym razem, kiedy oddział dzieci żołnierskich przeciągał koło domu ze śpiewem i muzyką, stary żołnierz klepał malca po ramieniu.

— Patrzaj-no, Izydorze — mówił — jakie to dzielne chłopaki! Za kilka lat i ty tak będziesz maszerował. Niema to, jak żołnierka, nie prawda? To ci się podoba?

— Niezupełnie; bitwa to straszna rzecz!

— Wstydź się, tchórzu! Czy może być coś piękniejszego, niż zginąć za ojczyznę? Spojrz-no tylko na tych malców... jak oni maszerują, co za postawa! Niejeden z nich będzie oficerem... może i ty zostaniesz... chciałbyś? nie prawda?

— Pewno, bo wtedy pan Dominik nie kazałby mi już skrobać kartofli, a przytem jeździłbym konno jak generał.

— Przyjdzie czas i na to, trzeba się jednak przedtem wielu rzeczy nauczyć: czytać, pisać, rachować...

— A to po co? Przecież na wojnie nikt nie czyta ani pisze; zawsze mi pan opowiadał tylko o samych bitwach.

— Tak, ale widzisz, żeby zostać oficerem, to znaczy: aby uczyć i prowadzić innych, trzeba być samemu nietylko dzielnym, ale i uczonym. Poproszę generała, aby pozwolił ci chodzić do szkoły.

Izydor skrzywił się, lecz sierżant nie zważał na to i wkrótce uzyskał od generała żądane pozwolenie.

Od tego czasu chłopiec zaczął się dąsać wyraźnie. Nie oczekiwał na swego opiekuna, jak dawniej, na podwórzu, nie szukał jego towarzystwa, a nawet stronił od niego, wykręcając się przy każdem spotkaniu brakiem czasu lub inym pozorem. Napróżno sierżant wyciągał go na słówka; malec milczał lub odpowiadał krótko, a w czarnych jego oczach malował się żal i wyrzut.

Tak upłynęło kilka tygodni.

Dnia jednego, kiedy sierżant, przechadzając się po podwórzu, oczekiwał na Izydora, Dominik, kucharz, zbliżył się do niego i dawszy mu znak ręką, odprowadził go na stronę.

— Przykro mi — rzekł — ale muszę uwiadomić pana, że nie jestem zadowolony z waszego protegowanego: leniwy i niedbały, a przytem łakomy; od pewnego czasu, czego nigdy nie bywało, ciastka i owoce zaczynają ginąć. Nie mówiłem o tem nikomu, ale trzeba, żebyście zmyli chłopcu głowę. Tak dalej być nie może.

Sierżant zaczerwieniał jak indyk. Izydor łakomy! Izydor kradnie ciastka ze stołu generała! Co za wstyd, hańba! Ależ to okropne!

I na twarzy starego odbiło się takie wzburzenie, że pan Dominik uznał za stosowne uspokoić go nieco.

— Nie bierzcież tego znowu tak bardzo do serca, sierżancie; wszystkie dzieci są łakome, natrzyjcie chłopakowi uszu i basta.

Lecz Gaveau nie mógł się uspokoić. Noc przepędził bezsenną, a nazajutrz od samego rana już był na podwórzu, czatując na Izydora.

Chłopiec się nie pokazywał. Minęło południe, ruch ustał, jego nie było. Sierżant, drżąc z niecierpliwości, nie opuszczał stanowiska.

Nareszcie o zmroku spostrzegł winowajcę, wymykającego się z kuchni. Nie tracąc czasu, zbliżył się ku niemu i chwycił go za rękę z taką siłą, że malec aż krzyknął z bólu.

— To boli! Czego pan chce ode mnie?

Geveau, nic nie mówiąc, wyprowadził chłopca na ulicę i skierował się ku Esplanadzie. Usiadłszy na ławce, postawił go przed sobą i nie puszczając ręki, patrzał mu prosto w oczy.

— Czego pan chce odemnie? — powtórzył Izydor. — Ja się boję... pan ma taką złą minę.

— Czem byłeś, kiedy cię spotkałem po raz pierwszy? — zapytał sierżant surowo.

— Sprzedawałem zapałki — odparł malec rezolutnie.

— Czy byłeś syty?

— Nie zawsze.

— Czy byłeś odziany tak, jak dzisiaj?

— O! co to, to nie.

— Kiedy byłeś chory i leżałeś w szpitalu, kto się tobą opiekował?

— Pan, panie sierżancie.

— A co powiedziałem generałowi, prosząc, by cię przyjął do siebie?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Nie słyszałeś, że ręczyłem za ciebie, za twoją uczciwość? że dałem moje słowo? Słowo sierżanta Gaveau! A czy wiesz, co to znaczy?... To znaczy, że odpowiedzialność za każdy

twój postępek spada na mnie! że chcąc czy nie chcąc, jestem twoim wspólnikiem! Rozumiesz?... No, więc odpowiedz mi teraz, niegodziwcze, jak śmiałeś kraść ciastka i owoce ze stołu generała?

— Kraść?.... Nikt ich nie jadł i leżały tylko na talerzu...

Sierżant chrząknął zakłopotany; malec nie rozumiał widocznie swego czynu.

— Ale nie dla ciebie je tam położono! nikt ci ich nie dał!

— To wszystko jedno, kiedy nikomu nie potrzebne...

— Jak to wszystko jedno? Skoro ci ich nie dano, nie miałeś prawa brać bez pozwolenia!

— Dlaczego?

Gaveau zwiesił głowę. Niema sposobu wytłómaczyć temu głupcowi, o co chodzi.

Izydor tymczasem mówił dalej:

— Generał mię żywi, a ja najlepiej lubię ciastka, których on nigdy nawet nie kosztuje. Po cóż więc mam koniecznie jeść mięso, kiedy ciastka wolę? Biorę je sobie tak samo, jak brałem kartofle u matki Potard.

— To zupełnie co innego.

— Dlaczego?

— Dlatego, że tam cię morzono głodem, a tu jesteś syty.

— Ale kiedy ja wolę ciastka niż chleb albo mięso!

— Tu nie o to chodzi, co ty wolisz... Gdyby ci się kiedy zachciało włożyć mundur generała, zamiast swojej kurtki, to także powiedziałbyś, że to wszystko jedno?

Ta myśl rozśmieszyła Izydora.

— Jeszcze mi to nigdy do głowy nie przyszło! — zawołał.

— Tegoby tylko brakowało! A to prawdziwe nieszczęście z tem dzieckiem!...

— Ale o cóż panu chodzi? Dlaczego nazywasz złodziejstwem zjedzenie ciastka, którego nikt nie chce, i które psuje się bezużytecznie?

Sierżant podrapał się w głowę. Są rzeczy, które się czuje, a wytłómaczyć je nie łatwo.

— Ciastka ze stołu generała, widzisz — zaczął, brwi marszcząc i ruszając wąsami — to uważasz — jakby rzecz położona bardzo wysoko. Czy mógłbyś wziąć co z tego okna, stojąc na podwórzu?

— E! — odparł chłopiec z filuternym uśmiechem: — przystawiłbym sobie drabinę!

Gaveau machnął ręką desperacko.

— Źle ci tłómaczę — zaczął znowu — to nie o to chodzi. Rzecz cudza może leżeć na ziemi, a podnieść jej nie wolno. Bo cudza! Rozumiesz? Co nie twoje, to święte! tego uczciwy człowiek nie dotyka! — A przytem, jeśli masz trochę serca, to wiedz, że ile razy sięgniesz po cudzą własność, to jakbyś mi wymierzył policzek!.... Uważasz: mnie wymierzyć policzek! Sapristi!... Ponieważ opiekuję się tobą, więc odpowiadam za ciebie i każdy twój zły postępek spada na mnie.

Chłopiec spoważniał i umilkł.

— Czy zrozumiałeś nareszcie? — spytał Gaveau, ocierając spocone czoło.

— Tak, zrozumiałem. Ale widzę z tego, że nie wytrzymam tu dłużej. Słuchać generała, kamerdynera, kucharza, pana i uczyć się jeszcze w dodatku. Nie chcę! Wolę biegać dzień cały po mieście i żyć kiełbasą i kawałkiem chleba, niż znosić taką niewolę! Jak byłem chory, to przynajmniej znosiłeś mi pan łakocie, miałem cukierki, ciastka, pomarańcze, a teraz....

— Słuchaj — zawołał sierżant — jeśli mi dasz słowo, że nie dotkniesz przysmaków, przeznaczonych na stół generała, przestanę palić i oddam ci wszystko, co mi zostaje od codziennych wydatków.

Chłopiec zamyślił się poważnie patrząc na twarz wzruszoną starego żołnierza Nagle oczy jego zaszły łzami.

— Nie, nie chcę, żebyś pan dla mnie przestał palić! — zawołał. — Nie ruszę nigdy tamtych ciastek, skoro sobie tego nie życzysz. Przyrzekam!

— To dobrze, Izydorze dziękuję ci za te słowa. Przyjdzie czas, że mię lepiej zrozumiesz i będziesz mi wdzięczny, jak rekrut, który się gniewa na mustry i uciążliwe ćwiczenia, a w czasie wojny poznaje dopiero, jak bardzo mu były potrzebne. Wracajmy teraz, dostaniesz jutro pomarańczę, jakbyć był jeszcze w szpitalu. (Ciąg dalszy nast.)

UBRANIA DZIECI.

W ubraniu dzieci powinna zawsze panować miła prostota. Wszystko, co sztuczne pretensyonalne, przeładowane, jaskrawe, rażące w ubraniu osoby dorosłej, podwójnie razi u dziecka.

Sukienki dzieci powinny być nawet w zimie z materyałów lżejszych, łatwo dających się wyprać Najlepsze pod tym względem są barchany i muśliny wełniane, dziś ogólnie używane, które w dobrych gatunkach i bardzo ładnych deseniach, już po 75 fen. za metr dostać można. Mają tę wielką zaletę, że nie tracą w praniu ani koloru, ani miękkości. Nadto są lekkie miłe w dotknięciu i ciepłe.

Na bieliznę dla dzieci najlepsze są bawełniane materyały, a nie płótno, które chłodzi skórę ogrzaną ruchem, zmęczeniem i wywołuje nieraz zaziębienie. Pończochy, ta ważna część ubrania, powinny być w porze zimowej wełniane, gdyż tylko takie utrzymują nogi w stanie należytego ciepła. Wełna użyta do pończoch, nie powinna być zbyt grubą, gdyż grube pończochy w noszeniu stają się twarde i niemiłe, a przytem nie są trwalsze od cienkich.

Niepraktycznym i niezdrowym jest zwyczaj wiązania szyi grubym szalem wełnianym. Daleko lepiej pozostawić szyję odkrytą i tym sposobem zahartować gardło, jeden z najdelikatniejszych i najwięcej wrażliwych organów naszego ciała. Wszelkie owijanie szyi staje się zbytecznem, jeżeli dzieci od najmłodszych lat są należycie zahartowane. Natomiast potrzebną i w ziemnej porze konieczną jest ochrona dla uszu, jaką dają dziewczętom kapotki, chłopakom zaś czapki spuszczane na uszy

W gorącej porze powinny dzieci być o ile możności luźno i lekko ubrane. Ciało bowiem dziecka rozgrzewa się do wyższej temperatury, niż dorosłej osoby, rzadko dziecko szybkością swych ruchów, i zabawą męczy się i rozgrzewa o wiele więcej niż dorośli.

Chodzić boso sprawia dzieciom wielką przyjemność, której nie należy zabraniać w pokoju lub w ogrodzie. Znakomicie to oddziaływa na ustrój nerwowy i żałować wypada, że nasze życie sztuczne, skrępowane przeróżnemi względami przyzwoitości

i obyczajności towarzyskiej, nie pozwala nam większej swobody i prostoty w ubraniu.

Niechże więc przynajmniej dzieci jaknajwiększej używają swobody.

Rażącemi i wielce niepraktycznemi w ubraniu młodszych dzieci są wszelkie zbyteczne ozdoby n. p. pióra i kwiaty na kapeluszach, łańcuszki, zegarki i ozdoby złote i srebrne.

Kapelusik przybrany tylko wstążką, zupełnie wystarcza dla dziewczynki, a zamiast niegustownych, świecących obszywek, kosztownych a nietrwałych, lepiej ozdobić sukienkę muślinowym wykładanym kołnierzem, oszytym koronką, który łatwo wyprać można.

Ubranie dziecka obok największej prostoty, powinno posiadać pewien wdzięk miły dla oka. Nieładne są dla dzieci kolory ciemne i poważne, ciężkie materye i krój zbyt poważny.

Skromną sukienkę dziecięcą każda zręczna kobieta sama uszyć potrafi, skoro nabędzie pewnej wprawy.

Niech dzieci będą zawsze ładnie i czysto ubrane, ale nigdy nudnie, ani elegancko nie wystrojone.

M. G.

PRAKTYCZNE RADY.

Wpływ cukru na zęby i organizm.

Niemało rozpowszechnione jest zapatrywanie, jakoby regularne spożywanie cukru i słodyczy stanowiło jeden z najważniejszych powodów rychłego zepsucia zębów. Cukier ma bowiem pod wpływem soków trawiennych w ustach powodować tworzenie się kwasów i zaczynów, niszczących szkliwo zębowe. Na to słusznie zauważyć trzeba, że murzyni, którzy ciągle żują trzcinę cukrową, celem wyssania z niej słodyczy, jakoteż Anglicy lubujący się wyłącznie w słodkich potrawach, posiadają stosunkowo dobre uzębienie. Powodów psucia się zębów, należy szukać w czem innem. Jak wiadomo, potrzebuje dorastający człowiek do budowy ustroju kościowego pewnych soli odżywczych, pomiędzy któremi przoduje wapno. Z tego powodu stanowi mleko, zawierające obficie wapno, najistotniejsze pożywienie dla dziecka. Natomiast słodycze nie zawierają wcale wapna. Jeżeli więc dziecko spożywa dużo słodyczy, to w końcu dozna uszczerbku pod względem soli odżywczych, co nie pozostaje bynajmniej bez wpływu na jego skład krwi. Ponieważ organizm dziecięcy koniecznie potrzebuje wapna i innych składników mineralnych do swej budowy i do wzrostu, wtenczas nie odbierając ich w należytej mierze, z pokarmów, cierpią na tem zęby, stają się kruche i poczynają próchnieć, gdyż nie mogą stawić oporu bakteryom, czyli niewidzialnym żyjątkom, tworzącym kwasy. — A więc cukier sztuczny, nie wywiera jako taki bezpośrednio żadnych złych skutków na istotę zębową. W razie nadmiernego lub wyłącznego spożywania może wywierać szkodliwy wpływ nie tylko na zęby, ale też na cały organizm w ten sposób, że nie dostarcza krwi należytych jej składników mineralnych. Najlepiej zatem ograniczać o ile możności spożywanie sztucznego cukru, a zaspakajać potrzebę tę przez spożywanie przyrodzonych darów, jakie mamy w przeróżnych słodkich owocach, w których to obok cukru mamy też należyty zapas składników mineralnych.

Wino brzozowe.

W dążeniu wynalezienia coraz to nowych środków pożywnych, wypróbowano gruntownie sok płynący z gałązek niektórych drzew ogrodowych i tym sposobem dowiedziano się, iż sok brzozy t. zw. brzozowa woda zawiera słodką substancyą.

Wyrabianie z brzozowej cieczy cukru korzyści nie przedstawia lecz można z niej wytworzyć tanie, zdrowe, szczególniej chłodzące i musujące wino. Przyrządzenie tego wina jest badzo proste. Aby otrzymać sok brzozowy, potrzebny do przygotowania wina brzozowego, trzeba w końcu lutego, w marcu lub w początkach kwietnia wtedy, kiedy już niema mrozu, gdy soki w gałązkach do góry wznosić się zaczynają — silną gałęź ½ do 1 met. ukośnie do ziemi zniżyć i 3 do 4 cent. głęboko świdrem dziurkę prześwidrować i w otwór ten włożyć dobrze przypasowaną rurkę, aby przez nią sok z gałęzi do podstawionego naczynia spływał. Przy ciepłym i ładnym wiosennym dniu dostarcza tym sposobem niektóre drzewo wiaderko soku, bez uszczerbku dla siebie. Są znane drzewa, które przez 40 lat z rzędu każdej wiosny przedziurawiane były, a pomimo to rozwijały się i wspaniale wzrastały. Ze zdrowego, mocnego drzewa można tym sposobem bez uszczerbku dla niego w przeciągu 24 do 48 godzin 10 do 12 litrów soku otrzymać, pogodne i ciepłe dni powiększają wypływ, nocne przymrozki i zimne wstrzymują go. Lecz aby nie uszkadzać dalej drzewa, gdy już wypłynęła oznaczona ilość soku, koniecznem jest otwór znów starannie zamknąć, wbijając w dziurę zaokrąglony klin suchego drzewa, prócz tego zalepiając żywicą. Gdy się tym sposobem otrzyma mniej więcej 50 litrów soku, dodaje się do takowego najlepszego cukru, licząc funt na 4 do 5 litrów soku i wlewa do pobielanego kotła, gotuje przez kwandrans, szumując ustawicznie, a później przecedza przez czystą flanelę. Następnie dodaje się na 10 litrów soku naturalnego, łyżkę stołową drożdży piwnych i wlewa to razem do beczki i dolewa się jeszcze 1 do 1½ litra dobrej wódki starki, lub połowę tej ilości dobrego koniaku i kładzie kilka krążków cytryny bez skórki. Beczka powinna być pełna, mocno zaszpuntowana i postawiona na cztery tygodnie w piwnicy lub w innem na to przeznaczonem miejscu. Można nie dodawać wódki, ani koniaku, ale na to miejsce sypie się jeszcze cukier ½ funta na 1 litr. Po miesiącu napełnia się winem brzozowem flaszki, bacząc, aby nie były zupełnie pełne. Jeśli to orzeźwiające wino chcemy zrobić podobne do szampańskiego, dodaje się do każdej flaszki parę łyżeczek soku porzeczkowego, zmieszanego troszkę z winem, napełnia się flaszki do połowy szyjek zakorkowywa tak, jak szampańskie wino i kładzie do piwnicy w piasek. Samo wino brzozowe lub przyrządzone jako szampańskie jest nietylko zaspakajającym pragnienie i orzeźwiającym napojem, lecz ma także dyetetyczne znaczenie, zastosowywane bywa w chorobach nerek i pęcherza.